

Warszawa, dnia 6 (18) Czerwca 1870 roku.

№ 24.

Cena w Warszawie 25 kop. miesięcznie—na Prowincji: rs. 1 kop. 20 kwartalnie (w tém mieści się już opłata pocztowa za przesyłkę kop. 11¼, oraz za opakowanie i ekspedycję kop. 33¾). **Redakcja** w Warszawie przy ulicy Solnéj pod Nr. 715.—**Skład główny** dla pp. Księgarzy *w Warszawie* w księgarni Ferdynanda Hösicka, ulica Senatorska Nr. 496, i tamże urządzona jest skrzynka na listy adresowane do Redakcji. *W Poznaniu* u **Leitgebera**, we *Lwowie* u **Wilda Karola**, w *Żytomierzu* u **Budkiewicza** księgarza.

Rok VI.

POPULARYZACJA NAUKI.

Są rzeczy nie dla wszystkich zrozumiałe i dostępne, są tajemnicze sanctuaria dla pewnéj liczby wybrańców otwarte. Inaczéj na świat patrzy filozof, inaczéj naturalista, a jeszcze inaczéj malarz lub poeta. Każde zjawisko na stu obserwujących, setkę różnych wrażeń, a drugą setkę różnorodnych sądów wywoła, bo „co głowa to rozum“ mówi przysłowie. Otóż bardzo często niestety zdarza się, że głów massa, szkoda tylko że twórca przysłowia nie określił co przez wyraz *rozum* pojmuje; ale niech on tam odpoczywa w pokoju.



Izydor Lotto—(Strona 291-a).

Dziwy opowiadają o piorunowych strzałach, rozłupujących stuletnie dęby, zapalających dachy stodół i mieszkań, ubijających na miejscu ludzi, konie, woły i t. d.; nawet niektórzy noszą w kieszeni widomo *corpus delicti* znalezione w piasku. Rzecz nie do uwierzenia że nikt dotąd, aon w ciele rażinego piorunem, ani w dębie, podobnéj strzałki nie znalazł! Płanetnik prowadzi chmury, owczarz umie je zażegnywać i rozpędzać, dzwonek loretański nawałnice uśmierza, cisowe drzewo leczy radykalnie wściekliznę, zamawianie przepędza uroki het za morze, cyganki przepowiadają przyszłość, równie dobrze jak „*Tłómacz i wyja-*

śniacz snów.“ Szalbierz znachor, pod płaszczykiem religji niewidziane odgrywa komedje, i tak: „Ludkowie moi, stańmy na kolana i prośmy Pana, idźmy na Oliwną górę i weźmy czubatą kurę, są tam dwa barany, mają olejek między rogami, tego olejku wonnego, dać dla niebożęcia tego, w chorobę położonego, baranka betlejemskiego.“ I „*Świat Duchów*“ zpokrewnym mu „*Gdzie jest djabeł i co robi*,“ równie dzielnie propaguje ideje oświaty i postępu. Już nie lud wiejski, nie klassa rzemieślnicza, ale niby wykształceńsza część publiczności, lubuje się w podobnych bredniach. Poszedłbym o wielki zakład, że wielu codziennie patrzących na ciepłomierz, nie zna jego zasady, ani działania nie wytłómaczy. Wielu rozprawiających szeroko o społeczeństwie, o urządzeniach państwowych, nie ma pojęcia co to jest prawo, co ekonomja polityczna; wielu surowych sędziów sztuki, estetykę zna tylko z tytułu. Źle się dzieje łaskawy panie. Trzeba popularyzować naukę, woła poważne grono wybrańców. Nauka powinna przejść do ogółu, rozlać jasne światło na massy, podnieść je, uszlachetnić, wyrwać z błędnego koła przesądów. Żyjemy w wieku odkryć i wynalazków, w wieku, który wprowadza w wykonanie wielkie myśli zrodzone genjuszem przeszłości. Widomy przykład zagranicy, daje nam pobudkę, daje wzór do naśladownictwa, do pracy! do pracy!

Starożytna pobudka, wielkie słowo, tyle imion, tyle zdolnosci biegło za jego dźwiękiem, tyle rąk kierowało pługiem na téj niwie leżącéj odłogiem, tyle ziarn na dziewiczy grunt padło— i wyrosło i plon wydało. A jednak przyznać ze smutkiem wypada: że my nie dobrze uprawiamy naszą rolę, że zbyt lekko traktujemy kwestję tak ważną, a nie masz wyrazu aby dostateczny nacisk na jéj znaczenie położyć. Bo chcąc popularyzować naukę, chcąc jakiekolwiek przedsięwziąść zadanie, toć najpierw plan pewien, jakiś porządek, jakiś system obmyślećby należało.

Zapytuję, czy gdziekolwiekbądź w naszych czasopismach, była choć jedna z nauk ścisłych traktowana systematycznie? Czytaliśmy pojedyncze urywki, raz o tem, drugi raz o owem, rozprawialiśmy szeroko o Darwinie, to potępiając z kretesem, to sądząc pobłażliwie po ojcowsku, mieliśmy nawet dobre artykuły Hygieny popularnéj, pogadanki z dziedziny Fizyki, Chemji i Zoologji, ale zręcznie poprowadzonego wykładu, choćby w pojedynczych ustępach, ale powiązanych z sobą i stanowiących całość, tego dotąd się nie znalazło. Zapytuję dla czego? Odpowiedź: publiczność się znudzi, nie zechce czytać, publiczność chce rozmaitości „Varietas delectat.“ W takim razie, chaos muzyczny byłby szczytem wymagań; winszujemy dobrego gustu. Nam się zdaje, że każdy będzie czytał to co dobrze napisane, co wytłómaczone jasno, przystępnie, co tchnie życiem, dowcipem i werwą. Rozumiemy aż nadto dobrze, że rzecz sama z siebie jako ściślejsza i potrzebująca myślenia, wypowiedziana ciężko-mądrze, zajmie tylko specjalistę, przyzwyczajonego do podobnéj lektury.

Ale weźmy np. dzieło *Figieura*.

Tam każdy przedmiot obrobiony tak obszernie, tak dokładnie, że nic nie pozostawia do życzenia, a jednak czyta się ono jak powiastkę. Weźny popularnych pisarzy Francji, Niemiec, jak to oni umieją przedmiot trudny, zawiły, przedstawić lekko, zrozumiale i powabnie.

Niegdyś Humboldt i Arago, będąc specjalistami, umieli pisać tak, że ich rozumieli wszyscy; znał tę sztukę i Śniadecki, znają Virchar i Huxley, zna Liebig i Karol Vogt, równie jak Michelet, Quinet, Flammarion, Szajnocha i Kremer, ale ci ludzie mają jeden sekret, jedną ważną tajemnicę, oni rozumieją to co piszą i dla tego potrafią jasno wytłómaczyć. Bo popularyzować naukę, bo uczyć drugich, to trochę trudniéj, jak szermować ogólnikami i sypać frazeologją bez końca bez liku, aż do zaśnięcia.

Jakieby to można zajmujące i pełne treści zamieszczać pogadanki z dziedziny prawa, psychologji, logiki! Co materjału dostarczyłyby nauki przyrodzone, fizjologja; jakąby korzyść przyniósł popularny wykład estetyki. Bo historję, bo literaturę, mamy w osóbnych dziełach gotową choć w części. Wprawdzie wielu się uczy dziejów ludzkości z romansów, jednak więcéj daleko znajdziemy oczytanych w tym kierunku; każdy coś zasłyszał z téj dziedziny; inne gałęzie wiedzy mała liczba gruntownie posiada, a pojęcia błędne tak częste i to w rzeczach najprostszych, elementarnych.

Gdzie kwitnie piśmiennictwo, gdzie autorowie znajdują nakładców, a ci znów dostateczną liczbę kupujących, tam rzecz inna; tam i obszerne broszury i całe tomy pisać i wydawać można. U nas jedne tylko czasopisma wegetują, powieść króluje wszechwładnie w ich szpaltach; od czasu do czasu życiorysy sławnych mężów; poruszamy kwestje będące na czasie (niektórzy), reszta śpi. Cały świat otaczającéj przyrody i naszego umysłu i organizmu cielesnego tajniki, nie budzą interesu ni zajęcia.

Ktoby to czytał! Proszę jednak odezwać się w kółkach towarzyskich w téj kwestji. Wszyscy z ciekawością słuchają mówiącego, pytania sypią się gradem, często pocieszne i komiczne, tchnące naiwną nieświadomością, a kto temu winien? dla czego nie podejmują tych kwestji, dla czego nie wytłómaczą, nie objaśnią? Będą czytać, ale trzeba umieć zainteresować. Publiczność nasza czuje potrzebę innéj strawy, ale dajmy ją przyrządzoną smacznie, nawet wykwintnie; bo mdła marmelada, albo słabo ocukrzone suszki nie znajdą amatora. Nie stać na rzeczy oryginalne, niech będą tłomaczenia, przeróbki, streszczenia, z tego co ma wartość niezaprzeczoną. Każde z pism ma pewną sferę działalności, pewien zakres, pewną normę do któréj stósować się musi. Niechże więc w odpowiedni sposób kieruje doborem artykułów; znając swoich czytelników, niech ich wymaganiom i stopie wykształcenia odpowie. Niech będą i życiorysy i rozbiory i krytyki, niech będą powieści, ależ myśli przewodniéj, tendencji postępowéj i jeszcze raz tendencji!

Nie bądźmyż sami dla siebie zagadką, nie patrzmyż na dokonywające się co krok zjawiska bezwiednem okiem profana; wytłómaczmy o tyle, o ile na to stan obecny nauki pozwala, to, z czem się stykamy w każdéj chwili.

Może się znajdą i tacy mędrkowie myśliciele, co rzekną: na co się to wszystko zdało, ot jeden napisał że się ziemia kręci, że w ciele jest elektryka i wierzą mu; dawniéj nie było tych *fizyczności* (wyrażenie często używane), a ludzie żyli i dobrze im było. Szczęściem to ostatni szereg arjergardy; gorsze daleko te flankiery, co pochwytawszy tu i owdzie oderwanych wiadomostek, niemiłosiernie mijają się z prawdą, siejąc hojną ręką błędne pojęcia.

Płeć piękna zwykle pada ofiarą w takich razach. Tam chemja, fizyka, fizjologja, mają całą dziedzinę faktów, o których rzeczywiście ani się śniło naszym filozofom. Nie braknie i męzkiéj połowie oryginalnych poglądów, bujnych hypotez i właściwego dyletantana lekceważenia i skeptycyzmu, nie braknie w każdéj sferze społeczeństwa. Światła, więcéj światła, systematyczności, bo inaczéj będziemy zawsze zamiatać schody od dołu.

Jakiż ma cel popularyzacja nauki? mnie się zdaje że uprzystępnienie, ułatwienie nabycia wiadomości, dla tych, którzy albo nie mogą, albo nie są dostatecznie usposobieni do poczerpnięcia ich z dzieł specjalnych. Nie podobna, żeby każdy był encyklopedystą, bo poświęcając się jednéj tylko wyłącznie gałęzi wiedzy, znajduje aż nadto pracy nad poznaniem i zbadaniem jéj do gruntu.

Prawnik nie może być naturalistą i na odwrót, tak samo jak filolog studjujący psychologję, może nie mieć jasnego pojęcia o fizjologicznych processach. Są jednak rzeczy o których człowiek wykształcony koniecznie wiedzieć powinien. Zdaje się że systematyczny wykład popularny, mógłby mu skutecznie przyjść w pomoc w tym razie.

Umieszczając odczyty publiczne w szpaltach pism, postępujemy racjonalnie, boć w nich mamy pewną całość, pewien obraz mniéj więcéj wykończony w szczegółach; ale oderwane wiadomostki, to o tém to o owem, nie wiem czy prawdziwą korzyść dla czytających przynoszą.

Szerzyć nowe pojęcia, obeznawać czytających z ruchem naukowym, podnosić kwestje będące na czasie, słowem, utrzymywać społeczność w kole bieżących wypadków i czynnyści na różnorodnem polu, ma być zadaniem prassy perjodycznéj.

Jest to dobrem dla pewnéj tylko części, dla innych może być zupełnie niezrozumiałem; oni nie znają całego obrazu, nie znają długiego szeregu faktów, które teraźniejszość pozostawiła za sobą.

Należy więc ową przeszłość jasno a treściwie przedstawiać. Taki historyczny przegląd danéj umiejętności czy wynalazku, czy wreszcie saméj nawet idei, jak jest pouczającym tak ciekawym. Widzieć tę wolną a ciągłą pracę ludzkiego ducha, patrzeć na postęp, na rozwój kolejny, to niby śledzić kiełkujące ziarno, od jego zarodka, do zupełnego wykształcenia i rozwoju.

Tam nieraz znajdziemy prawdę głęboką, taka obserwacja, taki przegląd rozjaśni nasze pojęcia, nauczy jak wypadek, zjawisko na pozór mało znaczące wprowadzało na nowe drogi, nawet kierowało losem całéj nauki, a nieraz losem ludzkości. Bo ludzkość i nauka, bo postęp, wynalazki i odkrycia to rzeczy ściśle z sobą związane. Człowiek tworzy pod wpływem różnych okoliczności, czerpie wiadomości, nabywa fakta z otaczającego świata, przerabia je w umyśle swoim na wyobrażenia, na pojęcia i według tych pojęć kieruje nadal kroki swoje o tyle, o ile jego możność i warunki w jakich się znajduje, na to pozwalają. Inaczéj żyje i inaczéj postępuje człowiek wykształcony jak ciemny, inaczéj w świat patrzy ten, komu w jasnéj szacie widnieją jego zjawiska, niż zaplątany w sieci nieświadomości, w mroku mglistym bez przewodnika, bez tłomacza.

Ale znów niech popularny wykład nie zejdzie na anegdoty, na bajeczki. Do gruntu dotrzeć przedewszystkiem, dać w kilku zarysach wierny kontur, zebrać to co ważne, co stanowi istotę rzeczy i zależnie od możności wytłómaczyć, rozwinąć, jest to praca dosyć trudna, ale jedyna jaka może przynieść pożytek.

Minęły już te czasy, gdzie zawód autorski zwano kapłaństwem, minęły chwile nieustającéj admiracji; dziś od pisarza wymagamy sumienności, a sumienność to nie zasługa, to obowiązek, to powinność. Pisać o niczem, to oszukiwać i siebie i drugich. Ognisko wiedzy nie zmurszałego próchna, nie sękowatych i wilgotnych korzeni, ale suchego rdzennego materjału do zasilenia wymaga. Nie żałujmy tego materjału, dokładajmy go obficie, bo jest go dosyć, a w przyszłości znajdzie się i więcéj. O! nie gaśmy tego płomyka co nam daje, światło i ciepło umysłowego życia, strzeżmy go pilnie okiem Westalki, żeby nie spopielał, nie zniknął, jak błędny ognik nad trzęsawiskiem, jak senne widzenie przed rzeczywistością zimną i głuchą. Zamykać w sobie samym nabyte wiadomości jest egoizmem nie do darowania, jest stratą, zmarnowaniem siły, która odpowiednio użyta i zastósowana, wypełniłaby lukę, naprawiła szczerbę w ogólnéj budowie społecznéj, szczerbę, którą wyżłobił czas i bezczynność.

Wypełnijmy braki, bo inaczéj nie poprowadzimy systematycznie rozpoczętego dzieła.

Gustaw Doliński.

STARE GROBY.

Lubię was stare groby, zaklęsłe od wieka,
Ostatnie krańce życia nużącéj tułaczki...
I kwiaty, których ziarno wiatr przyniósł z daleka,
Perłę rosy, co z kwiatu w mogiłę przecieka
I schylone w milczeniu białe brzozy - płaczki.

Lubię was stare groby, głuche zapomniane,
Nad wami, zamiast płaczu, ptak śpiewa bez troski
I pokolenia legły przy sobie nieznane,
Czas je połączył w jedno, a zioła wiośniane
Pokryły niepamięcią na kamieniach głoski.

Nie wiem jaka tam przyszłość za wami ukryta,
Zachodem czy świtaniem stanie się grobowiec?
Lecz wierzę, że odpocznie pierś boleści syta,
Że gwar ziemski do trupiéj czaszki nie zawita
I w ciszy wiecznéj uśnie znużony wędrowiec.

Jak potoki, pędzące z gór falą spienioną,
Wiją się drogi życia dziwacznym zarysem...
Aż mogiła otworzy macierzyńskie łono,
Kędy łzy i radoście zespolone toną,
W harmonji zapomnienia, pod ciemnym cyprysem.

Tomasz Zawadyński.

IZYDOR LOTTO.

Już to trzeba przyznać Izraelitom, że łączą w sobie w sposób zajmujący dwa przeciwieństwa wybitne, to jest zamiłowanie i prawie wrodzoną biegłość w matematyce, w naukach ścisłych z poczuciem muzykalnem w bardzo wysokim stopniu. Poetów, szturmujących ku łasce nieba hymnami samoistnemi, nie ma u nich wcale. Izraelita nie odzywa się ku Panu jako duch pragnący Go pojąć, zedrzeć zasłonę z niebios i z ciemności, otaczających byt ludzki. Izraelici mają jedyną swoją poezję biblijną, jako skarb dla nich niepożyty i wiecznie ich wzruszający. Tam

oni czerpią swoje natchnienia, swoje modlitwy i pod wpływem wrażeń ztamtąd pochodzących, poglądają na świat już od trzydziestu wieków. Ale przez wieków dwadzieścia ponieśli oni tyle przewrotów i nieszczęść, że uronili po téj drodze ciernistéj wszelkie złudzenia, które dzisiaj ożywiają jeszcze inne otaczające ich narody. Izraelita podług siebie, jest doświadczeńszym niż współcześni; od bardzo dawnych czasów nie miał się czém cieszyć; od czasów jeszcze babilońskich nauczył się patrzeć na świat jako na chwilowy znikający obraz, w obec spodziewanego Messjasza. I poczęści historja usprawiedliwiła taki pogląd na bieg spraw ludzkich. Utraciwszy przeto złudzenia i urok w życiu, rzucił się Izraelita do przedmiotów ścisłych i w nich wygórował; odrzucając bowiem na bok talmudyczno ciemne przepaści wykładów, musimy przyznać, że wszędzie, gdzie tylko Izraelitom pozwolono odetchnąć, doszli oni w naukach do wysokiego stopnia. Za dowód posłużyć mogą Hiszpańscy żydzi wieków średnich. Nauka, ścisłość, matematyka, nie dotykała ich talmudu, nie przeszkadzała wyobrażeniom biblijnym, oczekiwaniom messjanicznym. Ztąd to żydzi nabrali owéj właściwéj im bystrości w matematyce, tem bardziéj że przez długie wieki, fundując jedynie byt swój na pieniężnych obrotach i majątku ruchomym, znaleźli się sami na owéj matematycznéj drodze.

Wszystko to jednak bynajmniéj nie przeszkadza Izraelitom być dobrymi muzykami i genjalnymi kompozytorami. Meyerber i Mendelsohn stanęli na równi z najpierwszymi mistrzami świata! Pochodzi to ztąd zapewne, że naród ten wstrzemięźliwy, myślący i w niczém nieupośledzony, mając przez talmudyczne przesądy zamkniętą drogę do korzystania z darów ucywilizowanéj ludzkości (z wyjątkiem niewielkiéj liczby rodzin pierwszorzędnych), w *muzyce* tylko znajduje wolny polot. Muzyka żadnych pęt nie narzuca. Muzyka ma formy najdowolniejsze. Chocibyśmy w muzykę zamknęli najświętsze i najserdeczniejsze uczucia, można je wyrazić tylko w tonie, tylko w głosie. Izraelita więc znalazłszy się tu panem swojéj woli, pokazał że i on orłem być potrafi. W obec bowiem wielkiéj twórczości, wspaniałości i siły namiętnéj, jaką okazał w muzyce, powodzenie jego na innem polu artystycznem znacznie jest niższem, ale tylko na artystycznem, bo w niektórych zawodach imiona Izraelitów błyszczą dość jasno. Są tu i znakomici lekarze i uczeni ministrowie nawet państw pierwszorzędnych. Ale jeżeli i do tych kierunków potrzebna jest jaka taka twórczość—nie jest ona jednak twórczością formy piękna. Heine nawet jest raczéj poetą *negacji* niż twórczości.

Ztąd to pochodzi owo połączenie w Izraelitach daru rachunkowego i zdolności muzycznéj. Rachują doskonale dla tego że i dzisiaj jeszcze rachunek ten jest jedynym ich majątkiem. W Warszawie naprzykład, mieście w porównaniu z innemi europejskiemi, nie tak ludnem, ilość samych faktorów dochodzi do 8 tysięcy. Lubią zaś i uprawiają muzykę dla tego, że mogą w niéj odbić dowolnie wszystkie swoje serdeczne, drogie, odwieczne wspomnienia i nadzieje. W muzyce przejawia się jeszcze w całym blasku namiętność ich i sercowość. Postaraj się tylko zejść Izraelitę, kiedy jakby natchniony śpiewa swoje pieśni. Na jego twarzy czytasz prawdziwy zapał, siłę, młodzieńczość lub prawdziwe utrapienie. Sam sposób wykonywania ich hymnów po Synagogach, świadczy o głębokości, z jaką rzucają się w wir melodji. Hymny te zdają się być niekiedy hymnami ekstazy. Głosy dochodzą tam do niesłychanéj gdzieindziéj wysokości intonacji; jest to jakby krzyk harmonijny, pocięty albo raczéj rozsypany w brylanty dziwnie uderzających trelów i zwrotów. Przypomina się nam tu jeden z poetów, który po wysłuchaniu w Synagodze prowincjonalnéj hymnu, śpiewanego pod kierunkiem znanego kantora, przy wykonaniu którego uczestniczyły nawet chóry dziecinne, nie mógł się wstrzymać od napisania po powrocie do domu, całego poetycznego ustępu na cześć owego hymnu. Nie zawadzi przytoczyć tu choć kilka wierszy z tego utworu w słowach Dawida, (ale jednego z dzisiejszych):

„Ten głos wzniesiony, ten jęk ponury,
Jakby westchnęły znękane chóry
Do najwyższego rozdarcia piersi—
Tak jak wołają smutni najszczersi;
Ten głos co daje wielki wzlot słowu,
Chór powtórzony jak grom i znowu
Jęczący jednym głosem Kantora,
Jak rozciągnięta na twarz pokora;
Ten hymn, co tułactw puszczy datuje,
Ten krzyk rozpaczy, co obejmuje
I cześć i bojaźń, miłość, błaganie,
Ten wrzask bez nuty zginionéj w pianie
Ryczących piersi i ten chór dzieci,
Co jak ból w drgnięciu przebija, leci
Hymn ten wspaniały, wieczny, jedyny,
My posiadamy!...
. . . .
Oto naszego bytu korona,
Oto modlitwa niewymodlona—
W niéj Bóstwo samo w dźwiękach się kryje!
Oto modlitwa, co wiecznie żyje,
W ustach i życiu ludu grająca,
Promienna nakształt wiecznego słońca.
Pierwsza modlitwa Bogu jednemu!..." i t. d.

Przytoczyliśmy dla tego ten ustęp, że charakteryzuje on poniekąd źródło, zasilające poetyczne uczucie Izraelitów, które dzisiaj najświetniéj objawiło się w muzyce.

Przypominamy sobie także śpiew pewnego małego żydka, który podczas letniego wieczoru powracał przez samotną aleję. Myśląc że w alei nie ma nikogo, a ujęty widać nieprzezwyciężonym urokiem i pogodą natury, zaśpiewał coś głośno i pełną piersią. Był to śpiew tak uderzający, taki różny od codzień słyszanego, tak jakoś srebrny, dziwnie metaliczny, smętny a wysoko nastrojony, że i dziś jeszcze po latach dziesięciu, słyszę ten koncert wieczorny uchem wyobraźni...

Nie dziw więc, że z takiego otoczenia wychodzą znakomici kompozytorowie i wykonawcy. Owa śpiewająca wśród letniéj nocy dziecina, staje mi zawsze na pamięć, ilekroć się zdarzy mówić o którymkolwiek ze znakomitych muzyków.

A do liczby tych znakomitości należy niewątpliwie pan Izydor Lotto, znany w Europie skrzypek. Widywano go nieraz za jego dzieciństwa i w Warszawie i na Saskiéj kępie, ze skrzypeczkami, ani się domyślając że niedługo chłopczyk ten wzniesie się do wysokiego stopnia doskonałości w swojéj sztuce.

Urodził się on w naszem mieście w r. 1840, ma więc dzisiaj dopiero lat 30. Skrzypki wyprosił sobie i wymodlił od niezamożnych rodziców, którzy postarali się o nie, pomimo bardzo szczupłych funduszów. Pierwsze początki muzyki pokazał mu starszy brat

jego, który grywał na skrzypcach jako zwyczajny muzykant. Izydor rzucił się do muzyki z całą namiętnością i zapałem, właściwym jego współrodakom. Wkrótce doszedł do tego, że tak swoi, jak obcy, domowi i przechodnie, zaczęli w nim podziwiać biegłość wykonania.

To zjednało mu współczucie osób zamożniejszych, które sprawdziwszy w nim dar wrodzony, postarały się o kształcenie go sumienne i na wyższą skalę. Z początku bowiem uczył go dobry nauczyciel z tutejszéj orkiestry teatralnéj, Sturm, a potem, ciągle ciesząc się protekcją i opieką, znalazł się w Paryskiem Konserwatorjum muzycznem. I tu mimo mnogości uczniów i niejednego talentu, młody Izydor Lotto nie zginął, bo nawet zjednał sobie przychylność i szczególne zajęcie się nim professora Massarta. Kurs w Konserwatorjum ukończył Lotto w r. 1853 z pierwszą nagrodą. Nie porzucił jednak nauki i usilnego dalszego kształcenia się, bo dopiero w r. 1856 wszedł na drogę zupełnie samoistną.

W Warszawie wystąpił po raz pierwszy w r. 1857 i przyjęto go życzliwie. Gra młodego skrzypka w najsurowszych nawet organach prassy ówczesnéj, uznaną została za znakomitą. Występował także i w r. 1859 a te powtórne odwiedziny rodzinnego miasta, niczem się nie różniły od pierwszych, chyba tem, że talent wirtuoza nabrał większéj jeszcze swobody.

Lotto prócz tego podróżował i dawał koncerty w całéj prawie Europie, a podróże te przyniosły mu mnóstwo zaszczytów, pochwał a nawet ordery i tytuły.

Sydenhamski pałac kryształowy w Londynie, kiedy jeszcze istniał, był jak wiadomo miejscem zebrań publicznych i koncertów. Koncerty te dawane były mniéj więcéj stale i to spowodowało Dyrekcję Pałacu Kryształowego do zaangażowania w grono swoich artystów naszego skrzypka.

Gra jego, jak powszechnie przyznano, odznacza się przedewszystkiem sumiennem traktowaniem każdego rodzaju muzyki. Lotto umie być silnym w grze i czułym; umie być surowym i szybkim jak błyskawica. Skutek to zapewne własnego talentu, taktu i dobréj szkoły jaką przebył. Jakkolwiekbądź w ogólności zbyt już wytarte przeszły pochwały oddawane wirtuozom, to jednakże Izydorowi Lotto z całym namysłem przymioty te przyznać można, bo pomimo bujności muzykalnych określeń i swobody ich zastósowania, dają się spostrzegać zanadto wybitne w grze artystów różnice, aby nie znalazły ścisłego dla siebie wyrażenia. Jeden naprzykład ze skrzypków, składających znany kwartet Millerów, który do nas niedawno zawitał, pomimo że grał wybornie, jako lepszy artysta, nie mógł widocznie wyswobodzić smyczka od pewnéj dziwnéj miarowości i równości w pociągnięciach, co nadawało jego wykonaniu podobieństwo do tonów, wychodzących z jakiejś niesłychanie dokładnéj machiny muzycznéj. Lotto tego nie ma i dla tego też panuje nad przedmiotem. Niezwykła widać artystyczna wrażliwość p. Lotto bywa tak silną, że szkodliwie nawet oddziaływa na jego organizm. Młody i pełen życia wirtuoz, któremu wszystko uśmiechać się powinno, zapadł w r. 1866 na tyfus, a ten popchnął świetną jego wyobraźnię w chorobę obłąkania. Po trzech jednak latach artysta wyleczył się zupełnie i w roku zeszłym znowu do nas zawitał.

Pan Lotto nie ogranicza się samem tylko wykonywaniem muzycznem, dotąd bowiem, acz nie wiele, ogłosił jednak niektóre swoje kompozycje, także dobrze przez ogół przyjęte.

Cieszymy się, że możemy w szpaltach Opiekuna podzielić się z czytelnikami przyjemnem uczuciem, jakiego doznajemy w obec powodzenia jednego z dzieci tutejszego miasta, tembardziéj, jeżeli powodzenie to winno jest ono współczuciu możniejszych, którzy pięknie spełnili obowiązek podnoszenia i rozwijania wszystkiego co jest wyższem, lecz co znajduje zaporę w niezamożności.

Józef z Mazowsza.



Proszowiacy.

Proszowiacy.

Część ludu Krakowskiego, mieszkającego w południowo-zachodnich stronach Królestwa Polskiego, od miasta Proszowic, nazywa się Proszowiakami. Mieszkają oni w okolicy szczodrze obdarzonéj pięknościami natury, gdzie tłusta i pulchna ziemia, przychylna pracy człowieka, obfitością urodzajów wynagradza jego trudy i do udoskonalenia rolnictwa zachęca. Blizkość granic Galicyi, Krakowa, Węgier i Szlązka ułatwia handel i zamianę wszelkiego rodzaju produktów. To też lud tutejszy ma się dobrze, nosi się dostatnio, żywi się zdrowo i bawi się ochoczo, podkasawszy sukmanę w tańcu, wykrzykując od ucha: *Danaż moja, dana, lub: Albośmy to jaey tacy.*

Proszowiak, lubo wzrostu niezbyt wysokiego, jest jednak krępy i szerokich pleców. Mocne jego barki nieraz dźwigają wielkie nawet ciężary, a siła muskularna rąk, niejednemu już, który go śmiał zaczepić, dała się boleśnie we znaki. Siła taka przy czerstwości zdrowia, obdarza go hartem do znoszenia niewygód i trudów, do rezygnacji i cierpliwości w przeciwnościach życia, a nadewszystko przyucza do po-

przestawania na prostem i małem, w domowych potrzebach, lubo z drugiéj strony pochopnym go czyni do przebrania miarki w napoju, a ztąd i do wyradzających się z tego powodu kłótni smutnych następstw, tak w domu jak i po za domem.

Twarz mają piękniejszą i regularniejszą niż lud pod samym Krakowem zamieszkały. Mowa choć nieco przy końcu okresu przeciągła, lecz za to wyraźna i donośna. Włos pospolicie ciemny, w krętych splotach na ramiona spadający, bardzo rzadko jest kędzierzawy. Obok żywego w ogóle temperamentu, moralne ich władze ukazują baczne zastanowienie, dojrzały rozsądek i zdrowe zdanie o rzeczach nie przekraczających sfery ich wiadomości. Obecnie niemała już liczba ich dzieci uczęszcza do szkół i coraz bardziéj nabierają przekonania, że oświata może ich wykierować na ludzi, wykorzeni zastarzałe złe, a natomiast uszczęśliwić moralnie i materjalnie.

Przy całéj swéj sile fizycznéj i krzepkości, nie są pozbawieni uczuć tkliwszych, jak np. przyjaźni, poświęcenia się, miłości, tudzież gustu do poezyi i śpiewu. Serdeczny nasz poeta Brodziński, w swéj niezrównanéj sielance *Wiesław*, pięknie maluje dziarskiego młodziana, który pochwyciwszy w tańcu swą ukochaną Halinę, tak jéj wyśpiewuje:

Czemuż ja w Proszowskiéj ziemi
Małe zaznał dziecię,
Byłbym między Krakowskiemi,
Najszczęśliwszy w świecie.
Krew nie woda ludźmi włada,
Bo któż sercem rządzi?
Człowiek pragnie i układa,
A wszystko Bóg rządzi.

Podobnie jak każdy prawie Krakowiak, tak samo i Proszowiak, lubi przesiadywać w karczmie, skoro mu się tylko do tego nadarzy sposobność, bo wszystko można mu jeszcze z głowy wybić, ale hulanki, bójki i dziewczyny,— to już niesposób. Jest to już wynikiem jego charakteru. Nie myślmy przecie że jest rozwiązłym. Wcale nie. Owszem przepisy religji w wielkiem ma poszanowaniu i z wielką wykonywa je ścisłością. Pod tym ostatnim względem podobnym jest do prostodusznego, trzeźwego i pokornego Górala, w porównaniu z którym jest jednak prawdziwym zawadjaką. Lubi przestrzegać następujace cnoty: gościnność, przywiązanie do rodzinnéj chaty i posłuszeństwo miejscowym władzom, bez zbytniéj jednak uległości i czołobitności.

Chustek na szyję nie znają ani zimą, ani latem. Koszula (u któréj wązki kołnierz i rękawy, związane kolorową wstążeczką zwaną *faworkiem*) po wierzchu spodni opuszczona, spięta pasem skórzanym białym (lub z surowego rzemienia) zapinanym na mosieżną sprzączkę, nabijanym ćwieczkami mosiężnymi i zieloną skórą, u którego wisi kilkadziesiąt kółek mosiężnych, brzęczących za każdem poruszeniem w tańcu. Koło pasa na rzemyku nóż *kozikiem* zwany; w *kalitce* (skórzanym woreczku) hubka, krzesiwko i krzemień do ognia (dziś zastąpione zapałkami), lulka z cybuszkiem w zanadrzu lub za but wetknięta. Spodnie mają albo płócienne, albo z żółtéj wyprawnéj skóry. Buty juchtowe, długie, czasami pod kolana, do których przybite żelazne wysokie podkówki, które mu są przydatne gdy na wysokie musi się drapać góry lub też gdy przyjdzie wybijać hołubce i krzesać ogień w tańcu. Czapki noszą nizkie czworograniaste, z karmazynowym lub pąsowym wierzchem i wązkim czarnym barankiem. Wierzchnia odzież, *karazyja*, aż do góry pasa coraz węższa, poniżéj kolan szersza i rozchodząca się, z przodu zapinana bywa na haftki. Proszowiak używa białéj kierezji, wyszywanéj czarnymi sznurkami. Szkalbmierzak nosi ją brunatnego koloru, a kołnierz przewieszony na plecy, zwany *suką*, wyszywany białym sznurkiem i czerwoną włóczką w różne wzory. Sukmany samych Krakowiaków, są granatowe, jedwabiem pąsowym haftowane. Letni strój mężczyzn składa się z kitla białego płóciennego, z wierzchniéj sukni ozdobionéj kolorową włóczką i szerokich płóciennych spodni w buty wpuszczonych, z obszernego nizkiego kapelusza, przystrojonego we wstążki i pawie piórka lub też z białéj wełnianéj magierki.

Kobiety ubierają się bardzo gustownie.

Dziewki spuszczają od niechcenia warkocz spleciony i zakończony kolorową wstążeczką. Koszulka u kołnierza, naramników i rękawów, karmazynowym zwykle jedwabiem, albo pąsową bawełną przedziergana lub haftowana. Mężatki chowają włosy w siatkę, czepcem litym niekiedy, albo chustką białą w zawój związaną, u któréj końce spuszczają z tyłu na szyję ozdobioną paciorkami różnokolorowemi, prawdziwymi lub naśladowanymi koralami. Gorsety noszą z kamlotu, czasem nawet z atłasu lub innéj jedwabnéj materyi. Z wierzchu odziewają się pewnym rodzajem szalów z płótna cienkiego albo rąbku zwanym *rańtuchem*. Spodnice kolorowe spadają po kostki. Zamiast trzewików noszą zwykle na wysokich korkach buciki. W zimę, bogatsze mają suknię barankami podszytą, niedłuższą jak pod kolana, zręcznym krojem, wierzch granatowy lub zielony, nigdy prawie innego koloru. Niekiedy jeszcze dziewczęta ubierają głowy w aksamitne lub lamowe złote czółenka, przystrojone mnóstwem najjaskrawszych wstążeczek. Zdarza się to najczęściéj w czasie świąt i uroczystości weselnych. W ogóle i Proszowianki nietylko że nie pogardzają zabawą, ale do tańca muzyki i śpiewu lgną niby muchy do miodu, a zarumienione jak polne różyczki przytupują nóżkami i tną krakowiaki od ucha aż miło.

Ksawery Drużba.

WYCIECZKA W PŁOCKIE.

(Ciąg dalszy, patrz Nr. 22-gi).

Łęczyca, jest obecnie miastem powiatowem rządowem, położonem w gubernji Kaliskiéj, nad rzeką Bzurą. Liczy się do najdawniejszych miast w Królestwie. Nazwisko jéj pochodzi zapewne od obszernych a bagnistych łęgów, otaczających ją prawie naokoło. Do historycznych zabytków tego miasta należy przedewszystkiem *zamek*, którego założenie przypisują Kazimierzowi Sprawiedliwemu. Mury jednakże i ruiny sterczące z niego aż po dziś dzień, są bezwątpienia pamiątką po Kazimierzu Wielkim, z XIV wieku. W czasie wojen szwedzkich, a mianowicie po roku 1705, chylić się począł do upadku. W piwnicach tego zamku, na beczkach i worach złota i srebra, jak niesie podanie, miał właśnie mieszkać sławny ów Łęczycki djabeł Boruta. Z Kościołów, *Dominikański* zdaje się być spółczesnym zamkowi. Dawniejszą może jednak od niego jest *Fara*, posiadająca w skarbcu srebrny i drogiemi kamieniami wysadzany relikwiarz, zawierający w sobie drzewo krzyża Św. *Klasztor OO. Bernardynów* fundowany w r. 1632 przez Dorotę z Otolina Piwowę. Gmach piękny i dobrze utrzymany. *Kościół panien Norbertanek*, fundowany około tegoż czasu. Po zniesieniu zgromadzenia podupadły, później zużytkowany na teatr, dziś nareszcie jak szkielet patrzy czarnemi, powybijanemi oknami i czeka rychło go nie zamienią na fabrykę lub jaki magazyn. Z murów otaczających Łęczycę za Kazimierza Wielkiego dziś małe tylko pozostały szczątki. Ludność wynosi około 6,000 mieszkańców. Znajdują się tu fabryki grubego sukna, świec stearynowych i woskowych, oraz wyprawy skór. Targi co

dwa tygodnie, a jarmarków 6 do roku. O ćwierć mili od miasta leży *Tum*, wieś rządowa. Niegdyś zwała się *Koszczoł* albo *Kościoł*, później *Tumino*, wreszcie *Tum*. W niéj znajduje się kościół, jeden z najdawniejszych w kraju, zwany *Archikollegiatą*. Wieś równie jak archikollegiata była niegdyś niedostępnemi błotami oddzielona od saméj Łęczycy, tak, że często przystęp do niéj był niemożebnym, a mimo to Archikollegiata nosiła nazwę *Łęczyckiéj*, z powodu li tylko sąsiedztwa. Gmach tego kościoła wykonany jest zewnątrz z polowego w kostkę obrobionego granitu, wewnątrz z cegły; węgły zaś same z pięknie ciosanego piaskowca. Być może iż założycielem jego był sławny Piotr Dunin, w XII wieku, który za pokutę wystawił aż 77 kościołów; niektórzy jednak początek jego posuwają do XI, a nawet i do X wieku, w czasy Mieczysława I. Podanie miejscowe mniema nawet, że Piotr Dunin został tutaj pochowany, co się nie zgadza z historją, gdyż tenże umarł we Wrocławiu i w tamtejszym kościele Ś-go Wincentego przez siebie założonym, spoczywa. W Archikollegiacie Tumskiéj odbyło się 12 prowincjonalnych synodów, najważniejszych w kraju. Obejrzawszy ten piękny starożytności zabytek w najdrobniejszych szczegółach, zagrałem jeszcze niby na pożegnanie jakąś tęskną pieśń na organach do Boga-Rodzicy i wyszedłem ztamtąd zobaczyć i spojrzeć na leżącą o 200 kroków wklęsłą mogiłę, na błotach i rozciekach, a zwaną w starych aktach *Grodzisko*. Kto pod nią spoczywa—niewiadomo. Może bohater, może stosy wrogów słowiańszczyzny. Podanie mówi, że w czasach przedchrześciańskich miała tu stać świątynia pogańska. Do osobliwości Łęczycy należy także za miastem studnia, w któréj niegdyś zebrana na sejmik szlachta, w przystępie dobrego humoru, pącz sobie zimny zrobiła, nasypawszy setki funtów cukru, z stósowną dozą cytryn i araku! W ogóle Łęczyca może być policzoną jeszcze do miast większych, piękniejszych i interesownych. Nakoniec trzeciego dnia zwiedziwszy zajmującą artystyczną pracownię utalentowanego profesora rysunku w Szkole Powiatowéj i pożegnawszy się tak z martwymi murami jako też i z żyjącemi a znajomemi osobami, wyruszyliśmy ku Łodzi.

— No, mości poeto, zapytał p. Adam, jak ci się spodobała Łęczyca?

— Niczego. Grób przeszłości nieźle zakonserwowany.

— A tobie Franku? zwracając się do brata.

— Ujdzie, jednak wolę Warszawę.

— A tobie Piotrze?

— Bardzo, proszę pana. Tu przynajmniéj człowieka szanują i w hotelu i na ulicy, a w Warszawie nikt mnie nie ma za chetkę petelkę.

— Djabła Boruty nie widziałeś przypadkiem?

— Nie, djabła nie widziałem, ale za to djablicę... Niech ją kaci porwą!

— Gdzie, jak?

— Et, proszę panów... ciągnął drapiąc się po głowie—et, tak, spotkałem się tu z dawnym znajomym mi rzemieślnikiem. Chodziliśmy razem do szkoły, więc trza było przecież spotkanie czemś oblać... i z przeproszeniem pana, kiedy panowie poszli tam gdzieś na błota i łęgi, myśmy także sobie poszli na poczęstunek. Ja dałem piwa, on wódki; ja wódki, on piwa, ja znów piwa, on znów wódki, mała rzecz! Łeb mam tęgi i nic mi nie było, ale mój koleżka trochę sobie podchmielił. Ponieważ iść nie mógł odprowadziłem go do domu. Ale ledwie z nim wszedłem do warsztatu, mój Boże, kiedy jego żona nie wypadnie, z kijem... z kijem panie... kiedy nie zacznie okładać, raz męża, drugi raz mnie, ażem zgłupiał. I nie wiedząc jak i kiedy znalazłem się za drzwiami, czując tylko okropny ból w karku i na plecach i słysząc takie brutalskie słowa jak: chołysz, łajdak, pijanica, urwipołeć... Prosze panów, czy to nie djablica?...

Śmialiśmy się do rozpuku a p. Adam dodał:

— Dobrze ci tak, dobrze. A to grenadier baba, lubię ją za to. Widzisz, zamiast jako warszawiak dać dobry przykład trzeźwości i ułożenia, spisałeś się fatalnie! Ha, ha, ha, a co, boli?... będziesz pamiętał Łęczycę?...

— Łęczycę jak Łęczycę, ale téj babie to nie daruję.

Rozweseleni niefortunną przygodą Piotra, wkrótce przebyliśmy dwie małe milki i stanęliśmy w *Ozórkowie*. *Ozórków* jest własnością prywatną, zamienioną ze wsi w r. 1811 na osadę fabryczną, a w r. 1816 na miasto. Najświetniejsze czasy bytu i pomyślności Ozorkowa, z przyczyny fabryk, liczą się od 1820 do 1831 r. Ludność jego dochodzi do 6,000 głów, między którymi połowa niemców. Fabryki i handel są głównem zajęciem mieszkańców. Z budowli zasługują na uwagę: *Kościół katolicki* murowany w r. 1686, takiż *ewangielicki* w r. 1842, i dwie *synagogi*. Do znaczniejszych fabryk tutejszych należą: przędzy bawełnianéj i sukna, zatrudniające mnóstwo czeladzi i robotników. Miasto posiada magistrat, dwie szkoły elementarne i aptekę. Targi są dwa na tydzień; jarmarki zaś wcale się nie odbywają. Na gruntach Ozorkowa znajduje się torf, używany do fabryk i opalania mieszkań.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

Wiadomości Techniczne.

— **Ścieśnione powietrze jako siła pociągowa.** Liczne już przedsiębrano próby, aby ścieśnionego powietrza używać jako siły pociągowéj, ale ekonomiczne wypadki zawsze okazały się niekorzystnymi; czy jednak nie będzie możliwém, w wielkiéj massie zagęszczać powietrze i takowe w jakiéjś sieci rurowéj, na podobieństwo rur gazowych i wodociągowych pod ulicami miast prowadzić i za pomocą tak ścieśnionego powietrza po domach i piętrach maszyny w ruch wprawiać, musimy to przyszłości zostawić; w każdym razie rzecz ta nie wchodzi w granice niemożliwości a byłaby bardzo pożyteczną, bo ochroniłaby nas od wielkich wydatków na dotychczasowe maszyny i kotły parowe, na zakupywanie znacznych przestrzeni, od niebezpieczeństwa ognia i ciągle powtarzających się a zawsze niebezpiecznych explozji. Krok naprzód w owym kierunku, uczyniono teraz w Ameryce. Donoszą właśnie z Orleanu, że zawiązało się tam towarzystwo, do zastósowania ścieśnionego powietrza jako siły pociągowéj do poruszania wozów po ulicach. Dotychczasowe próby są bardzo zadawalniające. Każden wagon ma na wierzchu dwa cylindry lub rezerwoary, które na stacji napełniają się ścieśnionym powietrzem i za pośrednictwem odpowiedniéj machiny, koła wozu w ruch wprawiają. Ponieważ rezerwoary żelazne okazały się ciężkiemi, wykonano takowe z massy papierowéj. Z papieru bez końca, nasyconego klejem i kilkakrotnie obwiniętego sznurem, wyrabiają rury, które przed-

tawiają dostateczny opór, przeciwko żądanemu ciśnieniu. Takie papierowe rury wytrzymują do 20 atmosfer ciśnienia, a zatem mogą objąć dostateczną ilość powietrza, do przebieżenia pewnéj drogi potrzebnego. Ponieważ przy takiéj jeździe nie używa się zupełnie ognia, nie ma więc dymu, iskier pary, cylindry zatém papierowe mogą sobie zupełnie spokojnie na wierzchu wagonu spoczywać, a co jeszcze więcéj, że domy przyległe ulicom przez które koléj przechodzi, nie są już niepokojone dymem, ogniem i parą wychodzącą z maszyny parowéj. Na kolei miejskiej w Nowym Orleanie przy ciśnieniu wiatru 90 funtów na cal kwadratowy (około 6 atmosfer), z 28 passażerami, w $7\frac{1}{2}$ minut pociąg 3 mile angielskie przebiega. Zapewne Administracja tutejszéj kolei konnéj nie omieszka bliżéj zbadać owego przedmiotu, a jeżeli okaże się być praktycznym w Nowym Orleanie i u nas go kiedyś zaprowadzić. Wszak utrzymanie koni w mieście nie zmiernie wiele kosztuje, za powietrze zaś nikt sobie płacić nie każe! *J. P.*

ROZMAITOŚCI.

—Nowe dzieła: (M. D.) *„Fantazje Mirona,” nakład Przeglądu Tygodniowego 1870 r.* W szeregu młodych poetów naszych, wyróżnia się bardzo wybitnie talentem i oryginalnością p. Miron. W poezjach tego autora, które mieliśmy do tego czasu sposobność przeczytać, przebija się przedewszystkiem coś sympatycznie-tęsknego, chwytającego za serce i zmuszającego czytelnika do zatrzymania dłużéj myśli, nad objawami społecznego lub duchowego życia, gdzie łzy, krew ludzka, nędza i nieszczęście, pozostawiają po sobie nie zatarte lub długo nie zatarte, ślady... Z tego, cośmy dotąd czytali, przekonywamy się, że p. Miron umie patrzeć na życie, nie tylko ze strony poetycznéj, lecz oprócz tego spogląda na nie okiem myśliciela, czy filozofa. Wprawdzie nie trudno tam pod powłoką prawdziwéj poezji, dopatrzeć się pewnego zwątpienia, skargi, a czasem i.... cynizmu, ale przedmiot jest prawie zawsze przez tego poetę wybrany tego rodzaju, że niemal upoważnia do poetycznego bluźnierstwa... Pan Miron, według naszego zdania, żywi w swoich piersiach poetyczny zapał, jasność i głęboką miłość do wszystkiego, co piękne, wzniosłe i co dotknięte zostało pocałunkiem nieszczęścia lub fatalnego ustroju społecznego... Poezje jego będą zawsze sympatycznie witane, bo jest w nich prawda, głęboka prawda, obleczona w formę bardzo piękną, a czasem i bardzo wzniosłą...

Owóż tedy, obecnie mamy przed sobą nie wielką książeczkę tego poety p. t. *„Fantazje,”* złożoną z niekoniecznie scenicznego dramatu p. t. *„Bez Boga”* w 3-ch odsłonach; z monologu, myśl Vanauld'a p. t. *„Ostatni sen Tassa,”* i z poezji zatytułowanéj: „ze smutnych powieści” — *„Jedna z tych”* według Paillerona.

Fantazja dramatyczna *„Bez Boga,”* krytyki pod względem artystyczno-scenicznym, wytrzymać nie może. Jest to rzecz, naszkicowana z poetyckim talentem, ale tak pobieżnie i takimi zaledwie rysującémi się konturami, że nietylko jest niewyraźna pod względem samej charakterystyki, ale ostatecznie niewiadomo, co właściwie autor chciał powiedzieć... Jeżeli się nie mylimy, postawione są tam do walki pewne idee, ale z walki téj, czy z kolizji, czytelnik nie może sobie sformułować żadnego przekonania, bo p. Miron zapomniał, że w dramacie trzeba czynów napiętnowanych prawdą, a nie marzenia wpadającego w majaczenie... Z fantazji dramatycznéj *„Bez Boga,”* można wyciągnąć jedynie ten wniosek, że p. Miron jest prawdziwym poetą, ale nad wziętym materjałem do téj fantazji, zapanować nie umiał i co prawda, jako dramaturg, jak się należy z niego nie skorzystał... Forma w tym utworze, nie uderzyła nas taką pięknością i wykończeniem, z jakiemi się przywykliśmy spotykać w innych utworach tego poety...

„Ostatni sen Tassa,” jest tylko fragmentem, w którym jest bardzo dużo zapału i prawdziwego natchnienia.

„Jedna z tych,” jest najpiękniejszą pracą poetyczną w téj małéj książeczce. Myśl nie jest wprawdzie naszego poety, ale wypowiedziana jest pod tak piękną formą, z takiem uczuciem, serdeczną tęsknotą i skargą, że obok oryginału, stanąć może i powinna...

Od pewnego czasu, spotykamy się z mniejszymi utworami tego poety po różnych czasopismach.

Sądzimy jednak, że od prawdziwego talentu, jakim jest, bez najmniejszéj wątpliwości, obdarzony p. Miron, mamy się prawo spodziewać poetycznéj pracy, szerszego zakroju i znaczenia — i jesteśmy pewni, że głos nasz, nie będzie głosem wołającego na puszczy, tembardziéj, gdy wiemy, że w tece autorskiéj, spoczywają już gotowe rzeczy, którym tylko potrzeba... światła dziennego i sukienki, nazwanéj drukiem....

HUMORESKA.

Pomysł i rysunek

LEONA KUNICKIEGO.



(Babcia i wnuczka).

Babcia.— „Andziu! otwórz drzwi Żolce, bo biedna tak wyje!”
Andzia.— „Nie Babciu, to Ciocia Kazia tak śpiewa w swoim pokoju.”

Wydawca, Mieczyński Adam. — Дозволено Цензурою. — **Redaktor,** Oskar Stanisławski.

Drukiem Jana Psurskiego, ulica Niecała Nr. 12 nowy.